

Anna Strzelec

*Okno
z widokiem
na Prowansję*



Anna Strzelec

OKNO
*z widokiem
na Prowansję*

© Copyright Anna Strzelec & e-bookowo
Grafika, zdjęcia i projekt okładki: Anna Strzelec & e-bookowo
Redakcja/Korekta Elwira Izdebska-Kuchta
Wiersze Racheli Thompson – Barbara Kwiatkowska
ISBN wersja elektroniczna 978-83-7859-069-9
ISBN wersja drukowana 978-83-7859-070-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

*Każdy człowiek prędzej czy później wymyśla sobie
historię, którą uważa za swoje życie*

Max Frisch

*Moim bardzo realnym
i wirtualnym przyjaciołom*

Anna Strzelec

*Nie wszystko, co kocham jest moją własnością,
ale od dziś chciałabym móc i umieć delektować się
moim życiem...*

W podróży

– *Parlez-vous francais, monsieur?*¹

Odważyła się zapytać stewarda chyba tylko dlatego, że przypominał jej tatusia. Był trochę młodszy, ale bardzo do niego podobny. Jeszcze w domu, pakując swoje rzeczy na wyjazd do babci Leonii zastanawiała się, czy lekcje francuskiego, na które mama tak uparcie wozila ją i Marikę, na coś się przydadzą. Przecież Jeremi, nazywany przez mamę wujkiem umie mówić po polsku. Teraz chciała się po prostu przekonać: czy ją ktoś zrozumie, czy cała nauka poszła sobie w las.

– *Oui, mademoiselle, sil-vous plait?*² – odpowiedział z uśmiechem mężczyzna, stawiając na stoliku przed Marysią plastikowy kubek z sokiem pomarańczowym.

– *Do you speak English?*³

– *Yes, me too!*⁴ – roześmiała się tak radośnie, że Marika podniosła głowę z kolan Iwony, na których to drzemała od kilkunastu minut.

– Co mówiłaś?

¹ Czy mówi pan po francusku (franc.)

² Tak panienko, proszę (franc.)

³ Czy mówisz po angielsku (ang.)

⁴ Tak, też (ang.)

Jasne loki opadły jej na buzię i przykryły zaspane oczy.

– Powinnaś rozumieć – powiedziała wyniośle Marysia. – Chodziłaś na angielski? No właśnie! A poza tym wyglądasz teraz jak pudel!

– Spałam, nie słyszałam, mamó, ona znów się mąduje. – Marika była bliska łez.

Iwona przygarnęła na nowo do siebie młodszą córeczkę, a starszą objęła drugim ramieniem.

– Nie kłóćcie się, jestem pewna, że wasza znajomość języków obcych na dzień dzisiejszy jest zadowalająca. Wiem, że lot staje się męczący, ale wytrzymajcie jeszcze trochę. Została nam godzina, no może półtorej do Nowego Jorku. Włączyć bajkę?

Dodatkową atrakcją podróży, w której znajdowały się od sześciu godzin były nie tylko rozkładane siedzenia, poduszki, pledy do przykrycia oraz kolorowanki z pisakami, a także monitory umieszczone „na plecach ludzi” – jak stwierdziła Marika o tych, którzy siedzieli przed nimi. Iwona przewinęła pilotem kilka programów aż na ekranie ukazał się początek filmu, który już co prawda dziewczynki widziały, ale na który zareagowały bardzo entuzjastycznie.

– O, Alwin, zostaw mamó, zostaw, Alwin i wiewiórki!

– OK, oglądamy, każda na swoim, proszę. Chyba przed miesiącem były razem w kinie i wyszły zachwycone przygotowanymi wiewióreczkami, animacją i muzyką oraz naturalnie *happy* zakończeniem filmu. Teraz powtórka z rozrywki, a dla Iwony parędziesiąt minut spokoju i czasu do namysłu.

– Już nie mogę się was doczekać – mówiła Leonia w ostatniej rozmowie z nimi. Od dnia, gdy mieszkanie Steffi i Jurgena zostało sprzedane, a Manfred przysłał Iwonie dokumenty oraz

przelał uczciwie na Leonii konto połowę należnej im sumy; mogły pozwolić sobie na częstsze telefoniczne kontakty.

– Mam nadzieję, że ci się u nas spodoba. Mieszanina ciekawości i podniecenia Iwony przed spotkaniem z matką po kilkumiesięcznym rozstaniu i wszystkich wydarzeniach, jakie całą rodzinę w ostatnim czasie spotkały - sięgała zenitu. Podkorytowana jestem jak Marysia, albo Marika – myślała. Cieszyła się, że matka jest szczęśliwa, bo wiele na to wskazywało i postać tego francuskiego, „morelowego” ideała sądząc z opowiadań Patrycji też była interesująca. Sama Iwona po ostatnich przejściach, dotyczących jej ślubnego i afery, w którą została przez niego wmanewrowana nie miała ochoty na żadne damsko-męskie kontakty. Jedynie Manfred stał się niespodziewanym wyjątkiem i kwita.

Stewardesa zbierała pojemniki po ostatnio serwowanym daniu, Iwona poprosiła o kawę, a dziewczynki ze słuchawkami na uszach zapatrzone w monitory niczym asyentki pilota machnęły tylko odmownie rękami, żeby im nie przeszkadzać.

Jeszcze kilkanaście minut i NY. Kto przyjedzie na lotnisko? Chyba go nie puści samego – myślała o matce i Jeremim. Co to za imię, a zdrobniale? Remy? Remy Martin – jak dobry koniak i uśmiechnęła się w kierunku córek widząc, że wiewiórcze przygody dobiegają końca.

– Zapinamy pasy, moje drogie!

– Juuuuż?

To samo lotnisko, na którym przed pięcioma miesiącami Leonia rozpoczęła swoją amerykańską przygodę.

Dzisiaj czekali oboje: matka z radosnym bukietem lewkonii, jak zawsze szczupła, dziś sportowo ubrana. Stojący obok niej mężczyzna wyglądał podobnie, jak go sobie wyobrażała. Wy-

soki, szpakowaty z uśmiechem wzbudzającym zaufanie. Iwona odetchnęła z ulgą i ruszyła w ich stronę, ale dziewczynki były pierwsze.

– Babciu, babi!

Dwie kolorowe walizki zostały w przejściu, pasażerowie omijali je przystając i obserwując radosne spotkanie Leonii z wnuczkami. Marika ścisnęła ją za szyję, a Marysia nie zważając na kwiaty, przytuliła się do jej boku. W zamieszaniu jakie powstało Jeremi podszedł do Iwony, pomógł jej odstawić bagaże na bok a potem wszyscy dokończyli ceremonię powitania. Leonia płakała.

– Mamusiu, no coś ty, już jesteśmy, jakie piękne kwiaty, nie trzeba było, o tej porze musiały majątek kosztować! Leonia trzymała córkę w ramionach i obie miały wrażenie, że tym gestem dziękowały, przeproszały i starały się wyrazić wszystkie uczucia z jakimi żyły i walczyły w ostatnim czasie.

– Witajcie w Nowym Jorku! Załadujemy wasze walizki na wózek.

Jeremi już podjeżdżał i jak sprawny bagażowy ułożył dwie duże i dwie małe walizki, a na samą górę posadził Marikę. Marysia szła obok niosąc bukiet.

– *Sorry*, jesteś troszkę za duża – uśmiechnął się do starszej dziewczynki. – Jak minęła wam podróż, to twój pierwszy lot?

– O tak i to całkiem znośny.

Była zadowolona, że nowy wujek Jeremi rozmawia z nią jak z dorosłą. Niech sobie Marika siedzi na tej górze i niech lepiej uważa, żeby nie zleciała. Kochała siostrę, ale bywały momenty, w których zwyciężało uczucie zazdrości. Wydawało jej się, że mama poświęca Marice więcej czasu oraz częściej ją przytu-

la, a poza tym tęskniła za tatą, który niewiadomo dokąd wyjechał i kiedy wróci.

Idąc z Leonią za tą bagażową procesją, Iwona objęła ponownie matkę za ramię.

– Wybacz mi to, co na początku napisałam.

– Co masz na myśli ?

– Pamiętasz? Prosiłam cię, żebyś nie pakowała się w nowe afery.

– A co powiesz teraz?

– Świetny facet! Skrzyżowanie Colina Firth’a z Charlesem Shaughnessy’em w słusznym wieku.

– Kim?

– Shaughnessy, grał w Niani. Ach, mister Sheffield!

– Na to bym nie wpadła! Leonia śmiała się serdecznie wychodząc razem z córką na parking, na którym Jeremi zostawił auto.

Ten dzień upewnił mnie w przekonaniu, że decyzja pozostania w NY, zamieszkania z Jeremim i rozpoczęcia nowego etapu w moim życiu była słuszną. Byliśmy w drodze do Port Jefferson, a dziewczyny, czyli moja córka i dwie wnuczki na tylnym siedzeniu samochodu podziwiałały okolicę. Bezwiednie wróciłam myślami do innego dnia, w którym siedziałam obok milczącego Wiktora wiozącego mnie do Queens i nie wiem czemu poczułam na nowo gorycz tamtej przygody, której inaczej, jak właśnie tylko przygodą, teraz nazwać nie umiałam, bo ogrom oczekiwań spełnienia naszego związku tak bardzo mnie zaślepił. Jak to się dzieje, że niektóre związki pełne namiętno-

ści, łez radości i absolutnego zaangażowania wspominamy po latach z niesmakiem? W spadku pozostały listy, maile, wiersze – jak nie moje i nie dla niego, jakbyśmy nigdy razem nie istnieli... Miłość wypaliła się, gdzieś na dnie wśród zgliszczy tli się jeszcze żal niespełnienia, przed którym bronię się, bo nie mam zamiaru go podsycać, ani minionych wydarzeń rozpamiętywać. Czy Jeremi wspomina Jacqueline? Podczas naszych spotkań na początku znajomości powiedział mi, że była i odeszła; gdy ja, trochę obszerniej, że przyjechałam do kogoś, z kim miałam nadzieję spędzić resztę życia, lecz zakosztowałam zdrady i rozczarowania. Przekazaliśmy sobie informacje, niczym wzmianki o nagłych załamaniach pogody, choć prognozy były dużo korzystniejsze. Nigdy nie rozmawialiśmy szczegółowej o naszych związkach i miłosnych niepowodzeniach. To dobrze czy źle? Nauczyłam się nawet w myślach omijać „wiktorowy” fragment mojego życia, ten i jeszcze kilka innych. Być może posypywanie wspomnień popiołem nieistnienia udaje nam się do dziś?

Teraz milczałam chyba zbyt długo i takie zachowanie było oczywistą niegrzecznością z mojej strony, gdyż Jeremi dotknął z pytającym spojrzeniem mojej ręki i tym gestem przywrócił mnie z zamyślenia do rzeczywistości.

– *Sorry* – uśmiechnęłam się poprawiając na kolanach kwiaty, które Iwona dała mi do potrzymania na czas jazdy.

– Ale piękne stateczki, a ten duży biały, ojej!

Marysia i Marika o mało nie wyskoczyły z zachwytu z foteli. Byliśmy już w Jefferson, a ulica wiodła częściowo wzdłuż zatoki, gdzie cumowały prywatne jachty i szkoleniowo-naukowy R/V *Seawolf* należący do uczelni Jeremiego, którym on wraz z grupą studentów wypływa, aby badać morskie żyjąt-

ka. Zaczęłam opowiadać o tym dziewczynkom i właśnie kończyłam, gdy zatrzymaliśmy się przed naszym domem.

– I jest tak, jak mi opisywałaś. – Iwona rozejrzała się wokół i z porozumiewawczym uśmiechem mrugnęła do Jeremiego. – Super wybrałaś!

Widziałam, że pochwała ta sprawiła mu przyjemność, a pierwsze kontakty z moją rodziną zostały miło nawiązane.

Sally wybiegła do nas z radosnym poszczekiwaniami, ale na jej widok Marika schowała się za plecami Iwony.

– Nie bój się, zobacz, przecież ona wygląda jak dziecko Jessie.

Wszyscy pozwoliliśmy Sally na powitalne polizanie rąk i odkładając na później rozpakowanie bagaży rozsiedliśmy się na kanapach w livingroomie. Na tarasie stały co prawda jeszcze ratanowe meble, ale wiatr szarpał bezlitośnie pnączami bluszczu. Może jutro pogoda pozwoli na wystawienie naszych twarzy do słońca?

– Kto miałby ochotę zjeść pizzę?

Jeremi wysunął nęcącą propozycję, przy której prawie zapachniało nam w pokoju i liczył uniesione w górę palce oraz paluszki, a następnie telefonicznie zamówił według życzeń: wegetariańską dla Marysi, salami Marice, Iwonie i mnie z szynką, a sobie oczywiście z owocami morza – jak to na szanownego ichtiologa przystało. Co on powiedział podczas jednego z naszych pierwszych spotkań: „badam i wiem, co jem”? Tak, wtedy pochłanialiśmy pyszne smażone ryby w knajpie przy plaży na Staten Island, a potem... poszliśmy na spacer plażą... i przed zachodem słońca kochaliśmy się pierwszy raz...

Spojrzałam na uśmiechniętego Jeremiego popijającego piwo i rozmawiającego z moją córką. Ogarnęło mnie uczucie szczęścia, spokoju a także wewnętrznego zadowolenia. Z samej siebie i nas obojga.

Widocznie tak miało być. Dobry Boże, nie zepsuj niczego... Proszę, niech tak pozostanie.

Promienie słońca prześlizgiwały się przez błyszczące liście.

W trawie drżały białe stokrotki.

Oskar Wilde „Portret Doriana Graya”

– Zajmiecie ten większy pokój, a mały zostawimy dla Jacquesa – mówiła Leni wchodząc po schodach z Jeremim i dziewczynkami, jak je wszystkie w myślach nazywała. Pomagali im się rozgościć, wnosili bagaże, wskazywali łazienkę i bardzo starali się, żeby całej trójce było wygodnie. Iwona stanęła przy oknie, odsunęła białą firankę – taką w stylu *country* z angielskim haftem i spojrzała z zachwytem przez okno.

– Ależ pięknie tu macie. Między wysokimi platanami, które rosły za ogrodem należącym do matki i Jeremiego prześwitywały wody rozległej, już niebiesko grafitowej o tej porze dnia zatoki. Marika i Marysia, które rozłożywszy się jak długie na szerokim łóżku testując w ten sposób jego wygodę, teraz rzuciły się do okna.

– To te same żagłówki, które widziałam, gdy tutaj jechaliśmy? – wołała Marika.

– Jachty, nie żagłówki – poprawiła ją Marysia.

– Tak, te same. Jachty, żagłówki i stateczki. Jeremi zażegnał spór. – To druga strona z widokiem na zatokę. Skąd odpływają też niektóre transoceaniczne. Gdy odpoczniecie, możemy jutro odbyć pierwszy spacer, a zaczniemy oczywiście od naszego miasteczka.

Iwona stała zamyślona. Życie potrafi zaskakiwać swoimi poczynaniami. Tragicznie, to znów zadziwiająco wspañiale.

Jak to było kiedyś powiedziane: że wszystko co nam się zdarza każdego dnia, nawet jeśli wyciśnie łyżę z oczu - ma swój sens? I poczuła, że im zazdrości. Pozytywnie i tkliwie.

– To jedno z najbardziej urokliwych miejsc, jakie dotychczas w życiu widziałam, ten wasz Port Jefferson – mówiła Iwona idąc z Mariką za rękę. Za nią podążali Leni z Marysią i Jeremim. Odbywali właśnie wczoraj obiecany spacer. Zwiedzili już port, gdzie dziewczynki miały okazję z bliska podziwiać jachty, które stały się ich miłością od pierwszego wejrzenia. Głośno czytały ich nazwy i przyglądały się, jak niektórzy właściciele szykowali swoje wodne pojazdy do zimowej przerwy.

– *Jennifer, Black Mary, Linda*, a ten duży *Seawolf* – czytała Marysia.

– Właśnie tym dużym wypływam z moją armią jak prawdziwy wilk morski.

Leni i Iwona roześmiały się, a dziewczynki przystanąły z zadziwienia.

– Należysz do Armii? Niemożliwe, mama nic o tym nie opowiadała. Marysia z niedowierzaniem patrzyła na Jeremiego.

– Sorry, zażartowałem. Armią nazwałem grupę moich studentów z którymi wypływamy z zatoki, aby pobrać próby wody do badania, a nazwa statku to właśnie „Wilk morski”.

– To dobrze, bo już się bałam, że wypłyniesz gdzieś, może na wojnę i opuścisz nas jak mój tata.

Marysia szła trzymając Jeremiego za rękę jakby chciała zapobiec zniknięciu kolejnego mężczyzny z jej życia. Pomyślał,

że dziewczynka jak na ukończone siedem lat jest nad wyraz rozwinięta i omijając temat tatusia powiedział: – Nie martw się, na razie nigdzie się nie wybieram.

– Popatrzcie, ten bulwar nazywa się West Broadway – zawołała Iwona. – Ależ to nowojorskie. A jego przedłużenie to East Broadway i obie ulice mają trasę rowerową.

– Niestety nie mamy rowerów. Jestem głodna – stwierdziła Marika.

– Zaraz pójdziemy coś zjeść – Leonia uspokajająco ujęła rączkę wnuczki – zobaczcie jaki piękny jest ten pomnik. To mówiąc zrobiła zdjęcie, a Iwona głośno czytała słowa umieszczone na stopniu, na którym przykucnął wyrzeźbiony chłopczyk: *in memory of Darla who died giving life at 37 years*. Przystanąli.

– W dokładnym tłumaczeniu znaczy „dla uczczenia pamięci Darli, która umarła dając życie w wieku 37 lat”, znaczy się umarła przy porodzie trzeciego dziecka – tłumaczył Jeremi.

– Musiała być bardzo kochana, to niesprawiedliwe – powiedziała Marysia.

– Dzieci mamusi nie mają... Marika była bliska łez.

Nie po raz pierwszy już dziś Jeremi przyznał w duchu, że młodsza córeczka Iwony podobnie jak Marysia jest istotą bardzo wrażliwą. Reakcje obu dziewczynek wskazywały na to, że odejście taty i rozstanie z krajem jest dla nich dużym przeżyciem. Widząc na co się zanosi, zapytał:

– Czy ja słyszałem, że ktoś był głodny?

– Taaak – przytaknęli wszyscy szybko i z wyraźną, popartą uśmiechami, ulgą. Leni pomyślała, że Jeremi czasami potrafi błyskawicznie znaleźć receptę na poprawę nastroju, a on wskazując ręką drugą stronę ulicy, zawołał: – No to proponuję rybkę!

Naprzeciw bulwaru kuśił obiecujący widok. Restauracji *Seafood*, którą miał na myśli.

– Mam nadzieję, że nie będą marudzić, bo nie przepadają za rybami i widzę, że są już zmęczone – szepnęła Iwona do matki.

Leni roześmiała się.

– Kochana, nad rybami w Porcie Jeff nie można marudzić. One są po prostu pyszne!

*Każdy z nas ma dwie rzeczy do wyboru:
jesteśmy albo pełni miłości... albo pełni lęku*
Albert Einstein

– Mógłbyś jutro te małe *girls* zabrać gdzieś na lody? Chciałabym trochę pobyć sama z moją córką i porozmawiać o wszystkim, co zdarzyło się w kraju i Remscheid podczas mojej nieobecności – zapytałam Jeremiego.

– *D'accord*, ale pojutrze już mnie nie ma, pamiętasz, tak? Pewnie, że pamiętałam. Po trzech dniach urlopu, które wziął z okazji przylotu gości, Morelowy musiał wrócić na uczelnię. Oczywiście żałowałam, bo było bardzo miło przez ten czas mieć go przy sobie.

– Przespałam się z nim, powiedziała spoglądając figlarnie w moją stronę.

Dlaczego przypomniała mi teraz uśmiech i spojrzenie Steffi, mojej bliźniaczej siostry – wtedy jeszcze małolaty, gdy pewnego dnia wróciła późno wieczorem ze spotkania z Maćkiem i wyznała, że się z nim całowała?

– Zwariowałaś! Dlaczego?

Moja gwałtowna reakcja zdziwiła mnie samą, ale było już za późno, by coś poprawić, a ona powiedziała:

– Cóż to za pytanie, mamó? I dodając po chwili:

– Wiesz jak to czasem jest, nastrój chwili... Było miło i czule.

Starsi panowie też potrafią kochać...

– Wiem coś o tym – rzuciłam znów zaskoczona własną odpowiedzią i roześmiałyśmy się.

– Potrzebowałam przytulenia, ponownej akceptacji mojego ciała, namiastki uczucia, które odleciało gdzieś hen, daleko.

Iwona usprawiedliwiała się. Tłumaczyła, jakby rozmowa którą prowadziłyśmy toczyła się podczas wizyty u psychoterapeuty, a nie między matką i córką.

– A on? – przerwałam nietaktownie próbując wyobrazić sobie Iwonkę w ramionach mojego szwagra, którego twarzy już nawet nie pamiętałam.

– Zachwycił się...

– O matko! Mam nadzieję, że perwersyjnie nie wyobrażał sobie, że kocha się ze Steffi.

– Mamo! – skarciła mnie ponownie. – Nie sądzę. Nic na to nie wskazywało, chociaż już pierwszego dnia po moim przyjeździe do Remscheid powiedział, że jestem bardzo do Steffi podobna.

Westchnęłam głęboko. Szkoda, że mnie tam nie było, może nie dopuściłabym do takich hocków klocków. Znów matczyna czujność obudziła się we mnie zbyt późno, a przecież wcale nie chciałam okazać się ciekawska w oczach mojej dorosłej córki.

Siedziałyśmy na tarasie łowiąc jesienne promienie i wystawiając nasze twarze słońcu pod nos. Sally, jak niegdyś Jessie leżała u moich nóg. W dalszym ciągu nie mogłam zagłębiać się we wspomnieniach sprzed kilkunastu miesięcy. Są rany, które nie chcą się tak do końca zabliznić i bywa, że nawet czas całkowicie ich bólu nie uśmierza.

Iwona z przymkniętymi oczami i uśmiechem Steffi w kącikach ust, wyciągnięta na koszykowym fotelu kontynuowała:

– Po moim wyjeździe dostałam od Manfreda list. Kilka bardzo przyjemnych zdań napisanych na eleganckim papierze listowym, w których dziękował mi za pomoc w przygotowaniu wystawy i spędzone razem chwile. Wyraził też chęć przyjazdu do Polski i spotkania ze mną, czym nawet ucieszyłam się. Coś mu jednak w tym przeszkodziło. Tak wyraził się w następnej korespondencji, która dotyczyła sprawy sprzedaży domu, przysyłania dokumentów i przelewu pieniędzy. A ja za wszystko podziękowałam mu i poinformowałam o terminie odlotu do Was. Wtedy zadzwonił, życząc nam oczywiście udanej podróży i wiesz, o co zapytał?

Mogłam się spodziewać. Z pewnością o to, czego absolutnie nie życzyłam sobie w zaistniałej sytuacji i zmianach w naszym życiu. Spojrzałam na Iwonę pytająco, bez większego zainteresowania.

– Widząc twoją minę przypuszczam, że się domyślasz – powiedziała popijając preferowany przez nas kalifornijski sok pomarańczowy. – Tak, zapytał czy byłoby to możliwe, abyśmy się wszyscy tutaj w NY spotkali.

– Jeszcze czego – prawie burknęłam i zaraz zawstydyłam się, bo „burkanie” raczej nie było moim zwyczajem. – Wiesz córcia, wydaje mi się, że historia z niemiecką rodziną jest dla nas już zamknięta i tak trzeba ją potraktować.

– O mało co nie byłaby – westchnęła.

Prawie zmartwiałam. – Mów, proszę cię!

– Nie miałam okresu przez kilkanaście dni... myślałam, że jestem z nim w ciąży.

– Jezus Maria!

Poczułam zimny dreszcz na plecach.

– Spoko, mam, wszystko OK. Przez ten wyjazd, nasze rodzinne zawirowania i seks po dłuższej, łózkowej przerwie wszystko mi się poprzestawiało. Możesz sobie wyobrazić, co ja przeżyłam?!

– Mogę. Byłaś u lekarza?

– Jasne, nie ma problemu. Strach ma wielkie oczy.

Wytarłam spocone ręce na grzbiecie Sally. Powinnyśmy porozmawiać jeszcze o Robercie, narkotykach i jego odsiadce, ale mnie wystarczyło na dziś to co usłyszałam. Poza tym z głębi domu dochodziło dwugłosowe, radosne: – Mami, babi! To Jeremi wrócił z Mariką i Marysią z wędrowek po mieście.

Wstałam myśląc, że wypełnieni po brzegi uczuciem samotności, bywamy czasami bardzo lekkomyślni.

Mimo irytacji w jaką wpędziło mnie jej postępowanie, w głębi duszy rozgrzeszałam ją. Kiedyś też taka byłam. Niestety...

Z łazienki dobiegały pracowite bębnienia kropel wody. Dużo głośniejsze niż te za oknem, ale tu i tam słyhać było prysznic. Czekałam na Jeremiego w sypialni, siedząc na naszym wygodnym, szerokim łóżku i po raz drugi przeglądałam książki – prezenty, które przywiozła Iwona. Dowody sympatii i uznania zawsze bardzo mnie cieszyły, a szczególnie te, o których myślałam, że nagradzają moje dotychczasowe poczynania. Kilka znajomych osób wiedziało, że Iwona wyjeżdża do nas w odwiedziny i stąd na mój stary, domowy adres nadeszły radosne przesyłki. Głaskałam je teraz z wdzięcznością i układałam na nocnym stoliku.

Od Róży – Elwiry, dzięki której polubiłam Anne Rivers Siddons mam *Dom nad Oceanem* i *Żonę piekarza* – Marcela Pagnola. Marysia i Marika, którym chętnie czytam rozdziały *Mikołajka* zaraz poznały, że okładkę projektował ten sam Jean-Jacques Sempé. Bardzo mnie cieszy, że one też nie umieją żyć bez książek, podobnie jak ja i Jeremi. Co prawda on więcej czasu poświęca literaturze fachowej, ale tylko wtedy, gdy jest mu to aktualnie potrzebne.

Od pani Marii – recenzentki, która moim pierwszym książkom poświęciła wiele pozytywnych sformułowań i pochwał, otrzymałam opowiadania ekwadorskiego pisarza, Raula Pereza Torresa – *Ostatnie dzieci Bolera*. W książce znajdowała się pocztówka będąca reprodukcją akwareli Jolanty Borek – Unikowskiej, artystki malującej ustami i kilka słów od pani Marii: *Przyjemnej lektury! Bo tylko Pani doceni zawarte w niej metafory, jak ta o zielonych oczach pachnących miętą...*

– Niesamowite i wzruszające, prawda? – powiedziałam kilka dni temu do Jeremiego, rozpakowując podarki i czytając mu dedykacje.

– Lubią cię i cenią, ma *Chérie* – skonstatował, biorąc „piękną piekarczową” do ręki. – Zabójczy jest ten Sempé, poczytam wieczorem.

Ukochane przeze mnie wieczory! Jeremi często wybierał jedną z leżących na stoliku po mojej stronie łóżka książek, a potem oboje zagłębialiśmy się w przeróżnych historiach – zarówno w tych pełnych fantazji, jak i prawdziwych. Za kryminałami i horrorami nie przepadałiśmy, tylko Iwona miała w swojej domowej bibliotece obszerną kolekcję Agaty Christie.

– Przywiozłam ci jeszcze od Patrycji paczkę i list zawierający specjalne polecenia. Pół walizki zajęły mi książki, a dziewczynki

też kilka swoich dołożyły – śmiała się.

Teraz, czekając na Jeremiego otwierałam z ciekawością list, który przysłała moja przyjaciółka.

Kochana, kilka słów odnośnie książek. Korzystając z okazji pakuję je dla Ciebie i mam nadzieję, że Ci się spodobają, a gdańskie ploteczki w drugim liście ☺

Już dość dawno temu kupiłam Córkę opiekuna wspomnień Kima Edwardsa, książkę, której się nie zapomina, a potrafi wycisnąć łzy. Akcja toczy się w USA w latach sześćdziesiątych i od pierwszych stron nie tylko zaciekawia, ale i wzrusza. Zaczyna się opisem odbioru porodu przez doktora Davida Henry'ego. Rodzi się syn, a po kilku minutach ojciec przeżywa szok: na świat przychodzi córka z zespołem Downa. Szczęśliwe chwile nie trwają więc długo. Doktor, chcąc uchronić żonę przed bólem i wychowywaniem niesprawnego dziecka, podejmuje desperacki krok, poleca pielęgniarce oddanie małej do ośrodka dla upośledzonych. Ta jednak tego nie czyni i sama postanawia zaopiekować się noworodkiem. Żonie Henry powiedział, że córeczka zmarła podczas porodu. Przeczytaj, a dowiesz się czy doktor będzie mógł żyć spokojnie z tajemnicą i nieetycznym wyborem. Czy prawda wyjdzie na jaw, jak ułożą się relacje małżeńskie, no i jak życie bliźniaków? Mam nadzieję, że Ci się spodoba.

Faktycznie, już przy czytaniu tej mini recenzji napisanej przez Patrycję doznałam „emocjonalnych dreszczy”. Ciekawe, czy Jeremiego też zainteresuje.

Druga to jeszcze ciepła, jak świeża bułeczka, niedawno ukazała się w księgarniach Cukiernia pod Amorem Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk. Zajezierscy to pierwsza część trytomowej sagi o Gutowie. Książka gruba, ale ciekawa i czyta się jednym

tchem. Współczesność na prowincji i przeszłość rozgrywająca się w mazowieckich dworach splatają się ze sobą. Autorka opisuje pokrętne losy, miłość nie zawsze odwzajemnioną, ludzkie namiętności i zdrady, nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Jest wątek osnuty tajemnicą, którą próbuje odkryć Iga, najmłodsza z rodu, córka właściciela owej cukierni. Podczas wykopalisk w Gutowie archeolodzy dokonują niezwykłego odkrycia, odnajdują mumię kobiety z pierścieniem, który przed laty zaginął z rodowej szkatuły. Kim jest kobieta, skąd znalazł się na jej palcu pierścień, w jaki sposób weszła w jego posiadanie? Pierwszy tom nie wyjaśnia zagadki, chociaż uważny czytelnik może się czegoś domyślać.

Mumia w Gutowie? Ciekawe, gdzie leży ta miejscina? Nie miałam pojęcia, ale sądzę, że treść książki wyjaśni mi. Może to byłoby coś dla Jeremiego? Saga o polskiej prowincji...

Życzę Ci spędzenia radosnego czasu z dziewczynami! Wyobrażam sobie, że opowieści nie będą miały końca. Zobaczysz jak wspaniałe masz wnuczki, nie wspominając już o Twojej dzielnej córce, którą podziwiam całym sercem. Jak długo mogą u Was zabawić?

I tak dalej, jak zawsze pełna ciepła i serdeczności Patrycja.

Mój ukochany, były mieszkaniec południowo-francuskiej prowincji wyszedł nareszcie z łazienki. Jak zwykle pachnący i niezmiennie przyprawiający mnie o zawrót głowy.

– Poczytamy? – zapytałam, wskazując leżącą na moich kolanach literaturę, a on w odpowiedzi zebrał książki i odłożył je na stolik. Mógł powiedzieć: – *Chérie*, nie po to się tak pięknie wykapałem... albo coś równie prostackiego, ale nie byłoby to absolutnie w jego stylu.

On objął mnie spojrzeniem, a w tym momencie usłyszeliśmy na podłodze pod łóżkiem odgłosy skrobania. Czyżby myszy?

Ach, ta nasza Sally i jej pazury! Psina ewakuowała się do wyjścia z sypialni i Jeremi wstał, aby ją wypuścić.

*[...] miłość jest kombinacją podziwu, szacunku i namiętności.
Jeśli żywe jest choć jedno z tych uczuć, to nie ma o co robić szumu.
Jeśli dwa, to może nie jest mistrzostwo świata, ale blisko.
A jeśli wszystkie trzy, to śmierć jest już niepotrzebna:
trafiłaś do nieba za życia.
William Wharton*

Kiedy otworzyłam ponownie oczy, to zamiast Iwony siedzącej na brzegu mojego łóżka i Jeremiego z drugiej strony zobaczyłam stojącą Steffi w granatowej, powiewnej sukience i z rozpuszczonymi, tymi jej fajnymi włosami, które odziedziczyły po niej moja córka i wnuczka Marika. Steffi pokiwała głową współczująco i uśmiechnęła się:

– Krucho z tobą było, ale nie panikujcie. Jeszcze nie czas, chociaż muszę ci powiedzieć, że TAM jest całkiem nieźle. Można się przyzwycząić. To mówiąc pomachała mi ręką, na której zadzwoniły srebrne bransoletki, odwróciła się i odeszła.

Tylko tyle.

Przymknęłam oczy zastanawiając się, czy ponowna wizyta Steffi, to majaczenie będące skutkiem zastrzyków jakie dostałam, czy też moja siostra znów krąży wokół nas... i dlaczego? Przypomniałam sobie wieczór, gdy po przeczytaniu ostatniego listu od niej i przeanalizowaniu kilku minionych lat, prawie w ekstazie poprosiłam ją, aby wzięła moją Iwonę pod opiekę. Dziś nie mam pojęcia jak miałyby ten „job” Steffi u nas wyglądać. Wtedy byłam bardzo wzruszona, a dziś okazuje się, że Steffi wzięła moje słowa serio i do serca. Będzie nas teraz nachodzić i może jeszcze dziewczynki straszyć?! Poczułam

delikatne ciepło psiego języka liżące moją dłoń. To Sally, która siedząc widocznie cały czas pod łóżkiem, wygramoliła się uważając, że teraz nadszedł jej czas, by móc okazać mi powypadkowe współczucie.

Dlaczego musiało mi się przydarzyć coś tak przykrego? Kilka dni po przyjeździe dziewczynek i dwa tygodnie przed Świętem Dziękczynienia, na które tak wszyscy cieszyliśmy się, i gdy tak wiele przygotowań na nas czekało? Też sobie wybrałam moment na spadanie ze schodów w nowych, domowych klapkach! A potem dwie doby w szpitalu, pierwsze badania i prześwietlenie głowy, którą uderzyłam beztrąsko o ścianę, zjeżdżając pupą po schodach. Zbadano też dokładnie stan moich kości biodrowych, czy ich nie zwichnęłam lub broń Boże złamałam, bo bolało mnie wszystko okrutnie. Bardzo przystojny ciemnoskóry chirurg zastanawiał się, czy nie będą musieli pewnych części zagipsować, ale jednak nie. Zostały siniaki, które leczymy na razie kompresami. Ale o zagrożeniu mojego życia Steffi wiedziała więcej. Ciekawe.

W podzięce za okazywane mi psie uczucie pogłaskałam pieszczotliwie drugie wcielenie Jessie i poprawiwszy się na poduszkach, zamyśliłam. Dotychczas jakoś nie znalazłam czasu, by opowiedzieć Iwonie o poprzednich wypadkach zjawiania się Steffi i jak zza teatralnych kulis, kierowania moim życiem. A może śmierć wcale nie jest taka straszna, jak się niektórym wydaje? Może to tylko przeniesienie do innego, równoległego istniejącego świata?

Posłowie

Kiedy znów się spotkamy nie pytajcie, czy istnieli naprawdę: Jeremi, Leonia, Yvonne i Jacques, przemiła pani Thompson, jej córka Allisson i jeszcze kilkoro innych.

To postacie, które możemy spotkać każdego dnia, a w każdej z nich jest cząstka moich przyjaciół, znajomych i mnie samej. Utożsamiamy się z nimi, fantazjujemy, marzymy... Ja, która piszę i Wy – czytelnicy.

Mam nadzieję, że moi bohaterowie ogarnięci rodzinnym ciepłem; w Porcie Jefferson, Kalifornii lub Prowansji – pozostaną szczęśliwi.

Jeremi – partner inteligentny, wierny i romantyczny, prawie doskonały... Są jeszcze tacy? Wierzę, że istnieją. A dlaczego „Morelly”? Nazwany dość banalnie, stworzony przeze mnie, bo ze wszystkich owoców najbardziej lubię morele.

Ten zapach, złocisty miąższ i uwiecznione w nich słońce.

Anna Strzelec

Podziękowanie:

*Dance Sochackiej za ożywianie moich wspomnień z NY
oraz menu Święta Dziękczynienia,
Elwirze Izdebskiej-Kuchta za życzliwość, korektę i redakcję,
Marii Turek, Ewie Klejewskiej
i Basi Kwiatkowskiej za dodające mi energii serdeczne
komentarze w trakcie powstawania książki,
Katarzynie Krzan za wydawniczą kreatywność
oraz pozostałym przyjaciółom i czytelnikom za cierpliwość
w oczekiwaniu na opowieść
o dalszych losach Leonii i Jeremiego.*



In memory of Darla who died giving life at 37 years.



*Restauracja Seafood w Port Jefferson,
która serwowała pyszne, rybne dania*



Seawolf - szkoleniowy statek Jeremiego



Widok na zatokę o zachodzie słońca